



Urodziłem się 1 listopada 1928 roku w Kamieniu, w izbie porodowej, poród odbierała pani Michalina Pruchniewska - była dyplomowaną akuszerką w Kamieniu. Moi rodzice: mama - Agnieszka z domu Ferenc pochodziła z Krzywej Wsi, tata Michał Smusz z Kamienia. Nasza rodzina mieszkała w Kamieniu. Do dziś zachował się dom rodzinny, stoi pomiędzy domem rodziny Skawińskich a sklepem Delikatesy Centrum. Miałem brata Jana i trzy siostry: Marysia wyszła za mąż za Michała Barana z Wólki Łętowskiej, wraz z rodziną mieszkała w naszym domu rodzinnym, Jadwiga - wyszła za mąż za Stanisława Wąsika z Nowego Kamienia, Franciszka, była żoną Jana Oczkowskiego z Nowego Kamienia. Kolejność narodzin: Jan, Józef, Franciszka, Jadwiga, Maria.

Przed wybuchem wojny chodziłem do szkoły w Kamieniu. Zacząłem naukę w wieku 7 lat, ukończyłem tylko 5 klas. Wojna uniemożliwiła mi dalszą naukę. W klasach był dużo dzieci, ponad 30. Uczyłem się pisać, czytać, liczyć i na pamięć tabliczki mnożenia. Dyrektorem szkoły był pan Jan Barański, był oficerem, pochodził prawdopodobnie ze Lwowa. Moimi nauczycielami byli: pan Wierzbicki i pani Michalina Kogut. Ojciec pani Michaliny też był nauczycielem. Miałem wiele obowiązków domowych: pasłem krowy, pomagałem rodzicom w pracach polowych, przy ruszaniu ziemniaków, buraków, przy sianokosach i żniwach.

Niemcy pojawili się w Kamieniu na początku września, dokładnej daty nie pamiętam. W tym

właśnie dniu pasłem krowy na łące w Nowym Kamieniu przy granicy z polami z Kamienia, moi rodzice mieli tam pole. Kiedy po południu wróciłem z krowami do domu, to dowiedziałem się, że u nas są już Niemcy. W tym dniu do mojego domu przyszedł niemiecki żołnierz i chciał „wurst”. My nie wiedzieliśmy co to znaczy, czego on chce. Później nasz sąsiad z naprzeciwka, pan Dudzik, nam wytłumaczył, że on chciał kiełbasy. U nas jej jednak nie dostał i odszedł. Niemców widziałem po południu, szli rowami w kierunku Prusiny. Część żołnierzy szła pieszo a część jechała na motocyklach tzw. łódkach. Niemcy byli ubrani w zielone mundury, na głowach mieli hełmy, nosili ze sobą broń, były to automaty i karabiny. Część wojsk zatrzymała się na placu przy kościele, tam był postój, krótki odpoczynek. Tam też stały ustawione w porządku samochody i motocykle. Po przesunięciu się frontu do Kamienia przybyli ponownie Niemcy, władze niemieckie miały swoją siedzibę w szkole w Kamieniu na wprost kościoła. Gestapo miało swoją siedzibę w Górninie, a w Kamieniu ciągle ktoś z nich przebywał. Wójtem, na początku okupacji w Kamieniu był pan Kopacz, mieszkał w Kamieniu naprzeciwko gminy, obok państwa Potańskich. Mój starszy brat Jan pracował w Górninie przy budowie baraków w firmie Artura Yohra, a później został wywieziony na roboty przymusowe do Austrii, pracował bardzo ciężko przy odgruzowaniu. Do domu powrócił dopiero po zakończeniu wojny.

Ja w 1942 roku zacząłem pracować na miejscu w Kamieniu u zarządcy Arnolda. Zostałem do pracy skierowany przez wójta Jerzego Schneikharta. Zarządca w czasie wojny mieszkał na plebani, obok naszego kościoła parafialnego. Ksiądz mieszkał na parterze, a Arnold na piętrze. W 1940 roku Niemcy zabrali mieszkańcom Nowego Kamienia, Kamienia i Prusiny ich pola i stworzyli duże gospodarstwo. Pozostawili dotychczasowym właścicielom pola w odległości 500 metrów od domu.

W gospodarstwie utworzonym przez Niemców pracowali miejscowi. Pilnowali ich tzw. vorbeiterzy. Wśród dozorców był też mieszkaniec Kamienia, nazywał się Sapuła (bo znał niemiecki). Na naszych ziemiach, w niemieckim gospodarstwie, sadzono między innymi: ziemniaki i siano zboża. Po ich wykopaniu kopcowano je w polu. Zboże po wykoszeniu było składane w polu, w stogi. Później Niemcy podciągali młocarnie i tam młócili. Omlócone zboże furmankami zwożono do magazynu w Kamieniu. Niemcy do pracy w gospodarstwie wykorzystywali traktory na gąsienicach, pługi do orki były wieloskibowe. Zboża ścinałi snopowiązałkami, miejscowi chłopcy kosili tylko te połacie, które były powalone lub było za mokro na wjazd maszyny. Zdarzało się, że miejscowi kradli z niemieckich pól zboża, za to groziła kara śmierci. Aby być pewnym, że zboże pochodzi z niemieckiego gospodarstwa, np. w owsie wsiewano okrągły groch. W czasie kontroli i przeszukiwaniu w gospodarstwach, gdy odnaleziono owies z grochem, to był dowód na zabranie zboża z niemieckiego gospodarstwa.

Ja codziennie pracę rozpoczynałem o 5 rano. Pracowałem w stajni, która była niedaleko szkoły u Olka. Właściciel został wysiedlony. W stajni był 5 koni, ja miałem ich nakarmić, wyczyścić i na 7 rano miały być gotowe pod siodło. Trzy konie były do dyspozycji dozorców,

k którzy objeżdżali niemieckie gospodarstwo i pilnowali pracujących ludzi a dwa były do wyłącznej dyspozycji Arnolda, zarządcy. Oprócz dbania o konie, moim obowiązkiem było czyszczenie stajni, byłem też woźnicą. Jeździłem bryczką, woziłem Niemców, gdzie mi kazali. Nazywali mnie „Kutscher” (co znaczy furman). Pracowałem codziennie do 15 (od 5 rano), ale często musiałem pracować dłużej, bo musiałem na nich czekać i przywieźć ich z powrotem do Kamienia. W gospodarstwie był zatrudniony Hubryś, był sekretarzem w gospodarstwie, mieszkał koło dzisiejszej naszej dzwonnicy, tam był dom, w którym wcześniej mieszkał organista. Wielu mieszkańców Kamienia było wysiedlonych, musieli opuścić swoje gospodarstwa, pieczę nad nimi przejęli Niemcy.

Pamiętam też łapankę, która została przeprowadzona przez Niemców 6 stycznia 1943 roku w święto Trzech Króli. W tym roku była straszna zima, mróz mocno trzymał, nocą było więcej niż 20 stopni mrozu. Wieś została obstawiona przez Niemców wcześniej rano. Żołnierze byli na drodze i za budynkami, szli od strony pól. Wchodzili do domów i osoby, które wg nich nadawały się do pracy, zabierali. Gromadzono ich w szkole w Kamieniu, później przewieziono do Łętowni.

25 lipca 1944 roku odwoziłem bryczką Hubrysia do Raniżowa. Wiózł ze sobą ogromne walizki. Tam spędziłem wraz z innymi furmanami jedną noc. Chłopców z Kamienia (furmanów) było ośmiu. Tam nas poinformowano, że jutro będziemy jechać dalej, a my następnego dnia rano bardzo wcześnie uciekliśmy od nich i chcieliśmy wrócić do Kamienia. Podzieliliśmy się, każdy szedł piechotą sam. Kiedy już opuściłem Raniżów, wtedy nadleciał niemiecki dwupłatowiec, piloci do nas strzelali. Ja, gdy zobaczyłem niemiecki samolot, ukryłem się w dziesiątku, kiedy wreszcie samolot odleciał, wyszedłem ze zboża i nauczony, nie szedłem odkrytym polem, tylko starałem się iść skrajem lasu, by ukryć się w nim przed następnym samolotem. Szczęście mi sprzyjało wróciłem do domu. Gdy powróciłem do Kamienia, Niemców już u nas nie było, ale przylatywały niemieckie samoloty i z nich piloci strzelali do ludzi. Był wtedy wielki popłoch, ludzie uciekali, chronili się, gdzie kto mógł. Byłem też świadkiem zdarzenia, które miało miejsce między Krzywą Wsią a Górnem. Byłem w tym dniu u swojej ciotki w Krzywej Wsi i widziałem wózek ciągniony przez psy (4 psy). Na wózku siedział niemiecki żołnierz w randze sierżanta, był ranny. Wózkierem kierował Rusek, który skręcił w drogę w kierunku Łowiska, tam zepchnął rannego Niemca do rowu i go zastrzelił. Sam siadł na wózek, dalej ciągnęły go psy w kierunku Kamienia.

Końcem grudnia 1944 roku z Kamienia odeszli Rosjanie. U nas w domu przez kilka tygodni spało 6 Rosjanek, były sanitariuszkami. W czasie pobytu wojsk rosyjskich na terenie Kamienia zostały urządzone lotniska: pod Borczynami, na polach (u Rodzeniów) i pod Olszynami (las prywatny należący do: Szotów, Błądków, Storych, Dudzików, Orszaków). Gospodarze, którzy mieli konie i wozy, byli wysyłani przez wójta z Kamienia na tzw. forszpany. Ten obowiązek był szczególnie niebezpieczny, gdy zbliżał się front. Wozacy przewozili rzeczy potrzebne żołnierzom na froncie: żywność, broń, amunicję. Furmani jechali na kilka dni.

Wojna to bardzo ciężkie czasy, w mojej pamięci wydarzenia związane z nią są świeże aż do dziś, nie uległy zatarciu. Najlepszy czas dla nas to pokój. Wojna to zagrożenie życia, ciągły strach o siebie i bliskich, niepewność losu.

Wspomnienia zostały spisane w domu pana Józefa w sierpniu 2020 roku przez Helenę Orszak